

Nie ucichły echa olimpijskiego sukcesu reprezentacji. W umysłach działaczy piłkarskich i na szczytach sportowej władzy zrodziły się tendencje do zmian. Do głosu doszli zawodowi reformatorzy. Nagle nie spodobał się im kształt wszystkich trzech lig! Pomajstrowali. Teraz będzie 16 drużyn w ekstraklasie, w drugiej lidze 32 zespoły w dwóch grupach po 16, a trzecia liga zostanie zlikwidowana. Argumentacja? Decydują – twierdzono – względy sportowe, wychowawcze i przede wszystkim ekonomiczne. Skąpcy, ale i filantropi. Na pocieszenie – z urzędu, decyzjami zza biurka – postanowili tu i ówdzie zlikwidować piłkarskie „białe plamy”.

„Dopuszcza się jednorazowo do nowego systemu rozgrywek czołowe kluby czterech okręgów, a są to: Białystok, Koszalin, Olsztyn i Zielona Góra. Ma to na celu aktywację sportu piłkarskiego w tych rejonach. Jest to również generalne zapewnienie wszystkim miastom wojewódzkim miejsc w rozgrywkach centralnej II ligi...” – brzmiał oficjalny komunikat PZPN.

Uszczęśliwione zostały: Włókniarz Białystok, Gwardia Koszalin, Stomil Olsztyn i Zastal Zielona Góra. Trzy pierwsze kluby zaliczono do grupy północnej, a Zastal do południowej. Przeprowadzona sonda w tych klubach nie nastrajała optymistycznie. Własny stadion na miarę II ligi posiadała tylko Gwardia Koszalin, ale kasę miała pustą. Szansę na funkcjonowanie w wyższej klasie w oparciu o własne środki finansowe mógł mieć tylko Stomil Olsztyn. Historia rychło wydała wyrok skazujący na reprezentantów Białegostoku, Koszalina i Zielonej Góry. Chybiony był przede wszystkim wybór kandydata z Białegostoku. Postawiono na Włókniarza, podczas gdy piłkarstwo w tym mieście, akurat wtedy objęte patronatem „Piłki Nożnej”, zawsze utożsamiane było z Jagiellonią. A więc pudło! Likwidacja III ligi też była pomysłem absurdalnym.

Taki kształt polskich lig (trzecią zepchnięto do poziomu klasy okręgowej) otrzymał w spadku nowy prezes PZPN, Jan Maj. Zastąpił Stanisława No-

wosielskiego, który w połowie 1973 roku przejął kierownictwo nowo utworzonej Polskiej Federacji Sportu. Awansował jednocześnie na wiceprzewodniczącego GKKFiT. Środowisko piłkarskie przyjęło ten twór z dużą rezerwą. Niektóre dyscypliny były zadowolone, pozyskały bowiem możnego patrona, piłka nożna powodów do radości raczej mieć nie powinna. Jednak – zapewne z sympatii dla Nowosielskiego – PZPN zgodził się na formułę „**pierwszy wśród równych**”. Piłkarstwo, zwłaszcza jego ogniwa w województwach na tym pozornym liderowaniu jednak znowu sporo straciły, przede wszystkim samodzielność.

Teraz wszystkie okręgowe związki piłkarskie były tylko członkami terenowych federacji sportu. Biedne OZPN-y, od wielu lat były obiektem manipulacji. W najdrastyczniejszej formie przeżywały to już na początku lat pięćdziesiątych, a potem w połowie lat sześćdziesiątych. Były wtedy li tylko sekcjami wojewódzkich komitetów kultury fizycznej, bądź niewiele znaczącymi „oddziałami PZPN”. Starsi działacze piłkarscy z obrzydzeniem wspominali te upokarzające praktyki. Czy historia się powtórzy? Piłkarskiej centrali, głównie w kontaktach międzynarodowych, specjalnie to nie zaszkodziło, ale wszystkie związki okręgowe wyraźnie podupadły. Wcale nie były tam „pierwsze wśród równych”. Bywało, że w województwie jeden „nadzorca” z federacji, najczęściej nieprzychylny piłkarstwu, sprawował władzę jednocześnie nad kilkoma związkami sportowymi. Degrengolada. Dawną rangę odzyskało piłkarstwo dopiero po kolejnych sukcesach reprezentacji.

Miałem też wątpliwości czy prezes Stanisław Nowosielski rzeczywiście awansował. Ujmując sprawę na chłopski rozum, w tej nowej roli groziło mu pomniejszenie lub nawet przekreślenie dotychczasowych zasług dla piłkarstwa, zwłaszcza tych na rzecz reprezentacji. Potrafił jednak obronić się przed zapomnieniem. W nowej roli pozostał wierny futbolowi. Nie zdołał tylko przeciwstawić się likwidatorom III ligi i storpedować utopijnych pomysłów o likwidacji

„białych płam”. Górę wzięły doraźne akcenty polityczne. Prezes nadal gustował w dziwnych propozycjach kadrowych. Mnie na przykład chciał „uszcęśliwić” funkcją rzecznika Polskiej Federacji Sportu. Widać zapomniał, że już raz red. Mieczysław Szymkowiak wykpił takie awanse. Mój sprzeciw niektórzy „przyjaciele” potraktowali jako przejaw nadmiernej samodzielności i – jak tak to już wcześniej określili – „ponadnormatywnego stosunku do piłki nożnej”.

Pierwszą konferencję prasową Polskiej Federacji Sportu prowadził więc człowiek praktycznie znikąd, bodajże z zainteresowań rugbista, w każdym razie piłkarzom nożnym nieznany. Oficjalnie poinformowano dziennikarzy, że:

PZPN jest członkiem Polskiej Federacji Sportu.

W gestii federacji pozostaje polityka sportowych kontaktów zagranicznych, kształcenie kadr trenerskich oraz nadzorowanie systemów rozgrywek i organizacji zawodów.

Kierowanie przygotowaniem reprezentacji do imprez rangi światowej.

Polski Związek Piłki Nożnej oczekuje do PFS pomocy przy budowie centralnego piłkarskiego ośrodka szkoleniowego.

PZPN znalazł się między młotem, a kowadłem. Ambicje miał duże, ale sam niewiele będzie mógł zdziałać. Nowy prezes Jan Maj ani słowem nie wspomniał o tym, że PFS będzie krępować poczynania PZPN. Natomiast chwalił swojego poprzednika.

Nasze piłkarstwo – powiedział – jest na dobrej drodze do umocnienia silnej pozycji w Europie. Niełatwo będzie jednak sięgnąć po tak wielkie sukcesy, jakie PZPN zanotował na swoim koncie w czasie prezesury Stanisława Nowosielskiego. W zeszłym roku zdobyliśmy złoty medal olimpijski, a w tym wygraliśmy bardzo trudny mecz z Anglią o mistrzostwo świata. Piękne 2:0 w Chorzowie zjednało nam sympatię w całej Europie. Nie wolno nam niczego uronić z tych sukcesów. Teraz celem numer jeden jest dobre przygotowanie reprezenta-

cji do pozostałych spotkań o mistrzostwo świata z Walią w Chorzowie i z Anglią w Londynie. Między innymi służyło temu tournée za Oceanem.

Reprezentacja w dobrych nastrojach i ze świetnymi wynikami powróciła z Ameryki Północnej, a zaraz potem 2:0 wygrała w Warnie z Bułgarią. Teraz szybkimi krokami zbliżał się termin rewanżowego meczu z Walią. Dla naszego futbolu było to typowo hamletowskie „być albo nie być”. Trzeba to wygrać! Nawet remis z Walią nas nie urzęduje. Piłkarzom w podróży do Kanady, Meksyku i USA towarzyszył red. Stefan Grzegorzczak. W „**Dzienniku piłkarskiej wyprawy za Ocean**” pisał, między innymi:

...Trener Górski zapowiedział, że unikać będzie dziennikarzy, bo mu pokazano gazetę, w której napisano, że jest nonszalancki i zbyt pewny siebie oraz że lekceważy przeciwnika. Pan Kazimierz nie lubi jednak długo się gniewać i już następnego dnia udziela wywiadów... Żałośnie wyglądają niektórzy uczestnicy wyprawy, ale chyba nie tyle z racji trudów meczu, co spotkań z Polonią. A rano trzeba wstać. Zawodnicy schodzą się jakby nie mieli zegarków. Ale mówią, że czują się dobrze. Klimat Kalifornii sprzyja regeneracji sił. Daleki jestem od twierdzenia, że podróże nie były męczące, ale... wytrenowane, silne organizmy w żadnym meczu nie wskazywały, że zawodnicy znajdowali się na krawędzi wyczerpania energii.

A jednak w kraju pojawiło się sporo nadgrowliwców, którzy współczuli piłkarzom. Takie męczące podróże. Zapytałem więc zaraz po powrocie ekipy do kraju trenera Górskiego:

– Przepraszam trenerze, że się ośmielam. Jesteś także zmęczony?

– Ja także? A kto jeszcze? – zdziwił się Górski.

– Mam na myśli zawodników. Oni mówią, a dziennikarze to piszą, że są bardzo zmęczeni. Biedacy!... Myślę jednak, że za miesiąc, w rewanżowym meczu z Walią wszystko będzie w porządku...

– Nie rozumiem... Za miesiąc? Reprezentanci przemęczeni?... Ja tego nie widzę!... W wygranym meczu z Bułgarią w Warnie nasi byli świeżsi od gospodarzy. A przecież nie oni lecz my wojażowaliśmy po Ameryce...

„Teoria zmęczenia” udzieliła się także wielu działaczom. W tym świetle nawet prezes Jan Maj nie był pewien czy „biało-czerwoni” uporają się z Walią. Liga, europejskie puchary – to wszystko wymaga od zawodników dużo sił i dobrego zdrowia. Obawy tonował Jacek Gmoch. Po wyjaśnieniach Górskiego byłem bodaj największym optymistą. W hotelu „Katowice”, tuż przed meczem z Walią prowokacyjnie zagadnąłem prezesa Maja:

– Janek, jesteś przygotowany na uroczysty bankiet...

– Będzie pomeczowa kolacja...

– Co tam, kolacja... To musi być ucztą! Wygramy z Walią 3:0. Będiesz miał wymarzony debiut w roli prezesa.

– Trzy zero? Jurek, czyś ty oszalał?!

– Bywam szalony, ale dziś nie szarżuję. Mówię poważnie – wygramy wysoko... Szykuj przyjęcie!...

Nasi wygrali właśnie 3:0. Nikt nie zawiódł. Prezes Maj też zachował się elegancko. Stoły zastawione, moc żarcia i picia. Jak u praojców Sarmatów... Kurdesz! Kurdesz – nad kurdeszami!... Gości było sporo, także z Walii, ale tylko nieliczni sprościli rozkoszom pomeczowej biesiady. Wielu zwała z nóg „naturalna selekcja”... Do końca uroczystości w niezłej formie dotrwało tylko trzech wysoko postawionych działaczy PZPN i dwóch dziennikarzy. Za to piłkarze, ci oczywiście na boisku, byli wspaniali. Uraczyli nas dreszczowcem z happy endem. Na zgrupowaniu w Kamieniu dokładnie obejrzeli film z pierwszego meczu z Walią. To był celny chwyt motywacyjno-mobilizujący Jacka Gmocha:

–...Widzicie, co oni wyprawiali z wami w Cardiff! – wykrzykiwał. – Nieustannie złośliwie faulowali. Wyciągnijcie z tego właściwe wnioski. W Chorzo-

wie to nie może się powtórzyć... Wy musicie być górą! To jedyna prośba z mojej strony. Scenariusz meczu sami musicie napisać!.

Napisali. Nie był to najpiękniejszy mecz, ale jego wynik zadziwił nawet znawców. Znowu dobrze o nas mówią i piszą w kraju i na świecie. Wynik 3:0 we współczesnym piłkarstwie zdarza się nieczęsto. To cieszy, ale i zobowiązuje. Przed nami przecież rewanżowe spotkanie z Anglią na Wembley. Tam trzeba zagrać jeszcze lepiej. Klakierzy zazwyczaj gardłują, że zwycięzców się nie sądzi, ale mnie takie opinie denerwowały. Jak tu milczeć lub bić brawo, skoro defensywa nie była w tym meczu ostoją naszego zespołu? W Londynie może się to skończyć katastrofą. Tam trzeba zagrać bardziej „po angielsku”...

Słabe momenty miała też pomoc. Najwaleczniejszy był Ćmikiewicz, pierwszoplanową postacią Deyna, ale obu stać na dużo lepszą grę. Tylko napastnicy Gadocha i Lato bez zastrzeżeń. Wyraźnie przewyższali szybkością obrońców Walii, byli współautorami wszystkich bramek. Ich akcje, dynamiczne i precyzyjne należało by stawiać młodzieży za wzór do naśladowania. Za tydzień towarzyski mecz z Holandią, a za dwa tygodnie o decydujące punkty z Anglią. Rotterdam przed Londynem powinien być doskonałą próbą generalną w walce o udział w finałach X Mistrzostw Świata.

W wydawnictwie ustalono, że do Rotterdamu poleci Lechowski, a do Londynu Grzegorzycyk. Jednak z winy „służb pozaredakcyjnych”, a może z braku „woli politycznej” dycydentów, meczu z Holandią nie obejrzałem; stanowczo za późno otrzymałem niezbędne dokumenty. Redaktor naczelny takich kłopotów już nie miał. Szczęściarzem, na Wembley przeżył wydarzenie godne wyobraźni i pióra Alfreda Hitchcocka. Ja już przed Rotterdamem poczułem się jak nawiedzony, gdy pisałem: *„Mecz z Holandią powinien mniej więcej tak wyglądać jak ten za tydzień w Londynie. Mam oczywiście na myśli taktykę gry i role, jakie przypadną tam poszczególnym zawodnikom. Może wtedy i wynik będzie podobny?”* Tu i tam było 1:1... Znowu dobrze trafiłem.

Przed meczami z Holandią i Anglią dość głośne i ważne było jeszcze jedno wydarzenie – Walne Zgromadzenie PZPN. Miało charakter wyłącznie sprawozdawczy, ale nie tylko z tego powodu odbyło się w „klimacie optymizmu”. Cieszyła wygrana z Walią, przed Wembley malkontentów było niewiele. Nie omieszkało jednak dokuczyć Janowi Majowi: – „*Czy tak młody prezes zdola udźwignąć spoczywający na nim ciężar odpowiedzialności?*”. Odżył więc odwieczny spór w sporcie „starzy – młodzi”. Jak zwykle w podobnych sytuacjach narastające napięcie z humorem wyciszył „stary” Kazimierz Bukowski z Radomia. Odwołał się do historii:

...W roku 1937 – powiedział – szefostwo nad Wydziałem Sędziowskim objął 31-letni wówczas Wacław Kafiński. Był niewątpliwie bardzo młody, ale wtedy nikogo to nie raziło. Po cóż więc wypominać Janowi Majowi, że nie osiągnął jeszcze czterdziestki?... Jest energiczny, zapewne będzie mocno naciskał na Polską Federację Sportu, by wspólnym z nami wysiłkiem zbudowała wreszcie centralny ośrodek piłkarski?

Nadszedł wreszcie 17 dzień października. Polska zremisowała na Wembley. Jan Domarski strzelcem bramki, Anglicy wyrównali z problematycznego rzutu karnego. Nasza reprezentacja pojedzie na mistrzostwa świata! Red. Stefan Grzegorzyc doniósł z Londynu o „*końcu legendy stadionu i angielskiego futbolu*”. – „**To był szok!** – pisał. – Anglia nie mogła uwierzyć. Wydawało się jej, że to gwizdek na przerwę, a nie koniec meczu. Gazety rzuciły się na Ramseya: – Co zrobiłeś?!... Oddaj mistrzostwo świata! Dobry humor mają tylko bookmacherzy, zarobili dużo forsy. Wszyscy stawiali przecież na Anglię. Alf Ramsey nadal wierzy w legendę. Dla niego Anglia wciąż jest najlepszą drużyną świata...”

Po meczu z Walią w Chorzowie, mimo że wygraliśmy tam 3:0, a więc nie straciliśmy żadnej bramki, miałem zastrzeżenia do gry naszej defensywy, także do Jana Tomaszewskiego. Na Wembley bronił jednak wspaniale, po angielsku, jakby na co dzień grał w tamtejszej lidze. Fruwał na polu karnym, zbierał piłkę

z głów roślących napastników, rzucał się pod ich nogi. Uznano, że to głównie on „zatrzymał Anglię”. Tomaszewski zrobił swoje, ale w „twierdzy Wembley” świetnie grała cała polska drużyna. Bezblędni byli zwłaszcza obrońcy, kilkakrotnie wybijali piłkę sprzed linii bramkowej. Miał tam być remis i cel osiągnięto!

Potwierdziła się w Londynie głębia jednej ze złotych myśli Kazimierza Górskiego: *„Aby mecz zremisować, trzeba najpierw strzelić bramkę”*. Do tego jednak potrzebne są: mądrość, ambicja i... skuteczność. Tak właśnie grali Polacy na tym legendarnym stadionie. Był to 36 mecz pod wodzą Kazimierza Górskiego: 21 zwycięskich, 8 przegranych i siedem remisów. Ten z Wembley miał wartość największą. Otworzył wrota na światowe salony. I jak tu nie wierzyć w szczęśliwą siódmkę? Był to także pięćdziesiąty występ Kazimierza Deyny w drużynie narodowej. Do tej pory częściej od niego w reprezentacji grali tylko: Lubański, Brychczy. Ośliżło, Szymkowiak, Szoltyś i Anczok.

Chwalono Polaków za ogromnego ducha walki. Zaprezentowali postawę, pasję i styl naszych najwspanialszych przodków z różnych dziedzin życia. Tu i ówdzie podnoszono wyczyn piłkarzy do rangi bohaterów narodowych. Tylko jakiś pseudoznawca futbolu z „Głosu Pracy” bełkotał, że „na Wembley zabrakło ducha Stańczyka”, to znaczy zdrowego rozsądku. Odpowiedziałem paszkwilantowi fragmentem kwestii właśnie Stańczyka z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego:

...uderzyłeś w błazna ton
 Kłam sercu, nikt nie rozumie.
 ...sromota, sromota, wstyd,
 palący wstyd.

Zaraz po londyńskiej wiktorii zastanawiałem się na łamach „Piłki Nożnej”, co trzeba zrobić, „aby grać jeszcze lepiej...”. A trzeba, bo w puli finałowej w RFN wystąpi światowa elita, groźniejsza i sprytniejsza od Anglików. Chcemy zresztą, żeby nasi reprezentanci i ich następcy częściej grali tak dobrze i mą-

drze, jak w Londynie i byli stałymi uczestnikami finałów mistrzostw świata. Co stoi na przeszkodzie?

Brak własnego ośrodka szkoleniowego.

Wciąż nie wystarczająca współpraca klubów z piłkarską centralą.

Brak pełnowartościowego następcy Lubańskiego. Zresztą luki są w każdej formacji. Jeszcze nie zbudowano „jedenastki marzeń”.

Nie zawsze najwyższa forma naszych asów atutowych: Tomaszewskiego, Gorgonia, Deyny i Gadochy.

Zbyt powolne równanie do najlepszych – Kasperczaka i Laty.

Niedostateczne korzystanie z rezerw kadrowych tkwiących w drużynie młodzieżowej.

JASZYN CHWALI KOSTKĘ

W meczach z Walią i Anglią najwyraźniej dojrzał talent Jana Tomaszewskiego. Wszyscy w kraju chcieliśmy, by grał tak jak Lew Jaszyn. Do niedawna był to nie tylko najlepszy bramkarz lecz w ogóle najwybitniejszy piłkarz Europy. Gratulował nam awansu do finałów mistrzostw świata, zresztą zawsze był pełen uznania dla naszych piłkarzy. Lew Jaszyn, bramkarz wszechczasów! Przyćmił sławę Ricarda Zamory, Frantiska Planicki, Gyuli Grosicsa... Od ponad dwudziestu lat bardzo w Polsce popularny i lubiany. Ostatnio rozmawiałem z nim na zlocie najwybitniejszych bramkarzy w Czechosłowacji. Potężny, pozornie ociężały, ale wciąż zgrabny, elegancki i pamiętliwy... Nie może zapomnieć dwóch przegranych jego „sbornej” w oficjalnych meczach z Polską – 1:2 w Chorzowie i 0:1 w Warszawie.

– Mieliście dobrych piłkarzy. Zapewne ci współcześni nie są gorsi. Jesteście w finałach mistrzostw świata. Teraz liczę na awans naszej reprezentacji... Gra-

my przecież lepiej, niż wskazują na to przegrane mecze z Brazylią i Anglią, także z Polską na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium. Deyna strzelił tam Rudakowowi bramkę z karnego. Znam ten ból, mnie dwukrotnie ośmieszył Pohl. To był mistrz od „jedenastek”...

– Czy tylko Pohla pamiętasz z dawnej reprezentacji Polski?

– Najbardziej prześladował mnie Cieslik... Tego małego „czorta” Brychczego też nigdy nie zapomnę. No i Tomka Stefaniszyna. On już był znanym bramkarzem, gdy ja dopiero kandydowałem do reprezentacji. W Moskwie obronił karnego. Był wtedy lepszy ode mnie...

– Dziś mamy innego „Tomka”, a właściwie Janka... Tomaszewskiego. Widziałeś go w akcji?

– Żałuję, nie widziałem, ale... skoro trener Górski wyżej jego ceni, niż Huberta Kostkę, to rzeczywiście musi być dobry. Właściwie co się dzieje z Kostką? Doskonale wyszkolony bramkarz...

– Od czasu do czasu broni jeszcze w Górniku Zabrze. W reprezentacji już nie... Ma 33 lata...

– No to co? – zachnął się Jaszyn. – Stary, stary... Ja w roku 1963 byłem o rok starszy, a przecież wygrałem wówczas plebiscyt „France Football”. Wiesz, co o mnie mówili po mistrzostwach świata w Chile? Jaszyn się kończy!... Jeszcze raz się zawiąłem i byłem najlepszy w Europie!...

– W czym tkwił sekret tak długiej kariery? Przecież później byłeś jeszcze w Anglii, Meksyku... Grałeś w meczu FIFA – Anglia i na pożegnanie Stanleya Matthews. Dopiero w roku 1971, a miałeś wtedy już 42 lata, ostatni raz stanąłeś w bramce...

– Sekret, jaki sekret?... Po prostu kocham sport, a nade wszystko piłkę nożną. Nie byłem „cudownym dzieckiem”. Późno zadebiutowałem w reprezentacji. Początkowo w klubie nikt nie wierzył, że mogę być następcą Aleksieja Chomicza... Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat...

– Bronieś inaczej... Prezentowałeś „wrozumowany”, bardzo skuteczny styl obrony strzałów.

– Bramka, to nie arena, a boisko – nie cyrk. Niepotrzebne są więc akrobacyjne popisy i oczekiwanie na oklaski...

– Nawet w meczu Dynamo – Reszta Świata byłeś taki...

– Nawet wtedy... Przeżyłem tylko frajdę, że przeciwko mnie grali: Mueller, Dżajic, Facchetti, no i oczywiście wasz wspaniały Lubański. Anczok też był dobry. Zaraz po tym meczu wysłałem do PZPN list z podziękowaniami właśnie za ich wspaniałą postawę na Łużnikach. Ej, szkoda, że to wszystko tak szybko się skończyło...

– Szybko?... Ponad ćwierć wieku! I niemal zawsze na świeczniku...

– „Cudownym dzieckiem” to ja nie byłem! Nieco starsi chłopcy zgrabniej biegali za piłką. W czasie wojny w podmoskiewskim Bogorodsku nie szło mi najlepiej, byłem jakiś dziwnie ociężały. Kumple z podwórka dawali mi do zrozumienia, że nie mam talentu.

– To zapewne „za karę” przegonili cię do bramki.

– Skąd wiesz? U was też tak bywało?... Nie miałem „smykałki” do gry w polu... Przypadek zadecydował o mojej karierze!

– Po wojnie byłeś najpierw w wojsku, czy od razu w milicji?

– W armii!... To przecież męska powinność... W mundurze i w nieco przy-ciasnych kamaszach prezentowałem się owszem, owszem...

– Wtedy też grałeś w piłkę?

– Futboliści wystąp! – padł rozkaz. – To wystąpiłem. Pytają – obrońca? – bo konusem nie byłem. – Bramkarz – odpowiedziałem. – I tak już zostało...

– Czy pamiętasz, kiedy po raz pierwszy byłeś w Polsce?

– Jako żołdat! Służyłem w jednostce, która stacjonowała na waszych Ziemiach Odzyskanych. Gdzieś koło Białogardu... Mieliśmy silną reprezentację pułku, z powodzeniem rozgrywała mecze również z polskimi drużynami.

– Dobrze broniłeś... Wiem, bo tam byłem.

– Poważnie? Chyba żartujesz...

– Nie żartuję i niczego nie zmyślam. Akurat wtedy, krótko bo krótko, mieszkałem w Świdwinie odległym od Białogardu o jakieś trzydzieści kilometrów. Kopałem tam w piłkę w miejscowym klubie „Rega”. Strzelałem sporo goli. Tobie też jednego wbiłem...

– Fantazjujesz! Poczekaj... Świdwin, Świdwin... Wygraliśmy tam bodajże 4:1...

– Ciepło, ciepło... J właśnie ja cię wtedy pokonałem...

– Przepuściłem „szmatę”?...

– O, nie! Byłeś dobry, ale i ja nie od macochy...

– Przypomniałeś sobie to właśnie teraz, po tylu latach?...

– Zawsze byłem z tego dumny. Mam nawet zdjęcie z tego meczu...

– Zapewne strzeliłeś z karnego?... Z akcji było by to niemożliwe!

– Niemożliwe? To ci przypomnę! Bramka padła z akcji. Prowadziliście 1:0... Precyzyjnym „wewnętrzniaczkiem” wyrównałem na 1:1... Balu jednak nie było, ostatecznie wygraliście 4:1.

– Zwierzyłem się z tej mojej „słodkiej tajemnicy” redaktorowi Stefanowi Szczepłkowi, niegdyś bratniej duszy z „Piłki Nożnej”, w „Rzeczypospolitej” autorowi rzeczowej publicystki piłkarskiej. Prosiłem jednak, aby nigdy i nigdzie tej mojej „bajkowej opowieści” nie rozpowszechniał. Na to Stefan swoim nieco teatralnym głosem:

– Ciekawostka... To dobry kąsek dla czytelników „Świadka koronnego”. Sam o tym napisz. Jednak na wszelki wypadek sprawdź, czy „kontakt z Jaszynem” nie zapaprał ci opinii w IPN-ie!...

Powoli kończył się rok 1973, tak bardzo udany przede wszystkim dla naszej drużyny narodowej. Młodzież też miała powody do radości. Zespół Un-

der – 23 w pięknym stylu zdystansował rówieśników z Danii i RFN i awansował do ćwierćfinałów mistrzostw Europy. Sugerowano, że o sukcesie naszego zaplecza zadecydowała wyłącznie defensywna taktyka. Nieco mnie to zaskoczyło, bo w meczach z Danią i RFN nasi młodzieżowcy w żadnym wypadku nie „murowali” bramki i nie byli niewolnikami taktyki. Rzeczywiście może ona zdziałać cuda, jednak akurat w meczach w tymi reprezentacjami nasz zespół Under – 23 był lepszy pod każdym względem, także technicznie i kondycyjnie.

Jest dobre zaplecze. Ale uwaga! Nie przesadzajmy z tą taktyką, nie wymyślajmy założeń taktycznych za biurkiem. Zadbajmy najpierw o potencjał techniczny drużyny i jej wartości motoryczne. Najpierw bowiem trzeba mieć w drużynie odpowiednio wyszkolonych zawodników, a dopiero potem myśleć o taktyce. Możliwej do zrealizowania! To jest fundamentalna zasada szkoleniowa. Stawiać zadania na miarę kadry, którą się dysponuje! I tak właśnie w rywalizacji z Danią i RFN postępował Andrzej Strelau. Nie każdy trener to potrafi. Zbyt często są niewolnikami systemów gry i taktyki. To ich pcha do wypraw z motyką na słońce.

Szaleństwem jest na przykład, gdy drużyna, która ma w swoich szeregach trzech bardzo dobrych napastników, z przyczyn doktrynalnych z uporem trzyma jednego lub nawet dwóch z nich na ławce rezerwowych. Właśnie taki „fachowiec” jest niewątpliwie niewolnikiem systemu lub taktyki defensywnej. Albo inny przykład. Klub mający u siebie czterech lub pięciu doskonałych zawodników drugiej linii, a słabych napastników, nie powinien tkwić w schemacie 1+4+3+3. Bo też staje się zakładnikiem podręcznikowych teorii. Taktyka jest ważną sferą futbolu, przeżywa permanentną ewolucję, ujawnia nowe wartości. Jednak samą tylko taktyką, gdy brakuje innych atutów, meczu wygrać się nie da.

Z kim zagramy w RFN? Już w grudniu 1973 mgr inż. Jacek Gmoch i mgr Wojciech Skoczek z Politechniki Warszawskiej zapoznali Czytelników „Piłki Nożnej” z prawdopodobnymi składami poszczególnych grup finałowych. Prze-

powiedzieli z 75-procentową pewnością, że rywalami Polski na boiskach Niemiec będą: reprezentant Ameryki Południowej, drużyna z Europy Zachodniej i... Ameryki Środkowej. Losowanie odbyło się 5 stycznia 1974 roku we Frankfurcie nad Menem. Gmoch i Skoczek mieli rację: gramy z Argentyną, Włochami i Haiti.

– Mogło być gorzej! – zgodnie odpowiedzieli Maj i Górski. – Sama egzotyka... Południowcy! Klasę Włoch i Argentyny znamy dobrze... To potencjalni mistrzowie świata!... Grają inaczej niż Anglicy i Walijczycy. Musimy to uwzględnić w naszych planach przygotowań. Potrzebne będzie wcześniejsze rozpoznanie przeciwników...

Kibice wysoko ocenili „zwycięski remis” na Wembley. W konkursie – plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na dziesięciu najlepszych sportowców Polski znalazło się aż trzech piłkarzy: Kazimierz Deyna (5), Jan Tomaszewski (9) i Lesław Ćmikiewicz (10). Tuż za nimi uplasowali się: Jerzy Gorgoń (11), Robert Gadocha (12), Włodzimierz Lubański (13) i... Grzegorz Lato (20). Lubański, kontuzjowany w meczu z Anglią w Chorzowie, czuł się coraz lepiej, wierzył, że lada moment dołączy do kolegów. Jednak lekarz kadry, dr Janusz Garlicki temperował te nadzieje. W ekipie na tournée do Niemiec, Włoch i Algierii Lubańskiego nie było. Niezdolny do gry był również Jerzy Kraska.

Podziwiałem Górskiego, jego entuzjazm, zmuśne poszukiwania, ale też mocno mu współczułem. Miał trudniejszą selekcję niż jego poprzednicy. Jeszcze nie tak dawno mocny trzon reprezentacji tworzyli piłkarze Górnika Zabrze wspierani głównie przez tuzów – Legii Warszawa. To był prawie samograj. Teraz rozrzut kandydatów do drużyny narodowej był znacznie większy. Stalowcy z Mielca, wiślacy z Krakowa, najlepsi z Chorzowa i Łodzi, wreszcie nowicjusze ze Śląska Wrocław też zasługiwali na wyróżnienie. Selekcjoner powtarzał przy każdej okazji, że będzie się starał stworzyć reprezentację z par lub tercetów klubo-

wych. Jeśli Deyna, to również Ćmikiewicz i Gadocha, jak Szymanowski – to razem z nim Musiał i Kapka, jeśli Kaspercak – to także Lato i Domarski, wreszcie jak Tomaszewski – to również Drozdowski i Bulzacki. Górski niemal do końca swojej misji był wierny tej idei i źle na tym nie wyszedł.

W Ruchu wyraźnie mijają czas Bronka Buli, ale drugą młodość zaczął przeżywać Zygmunt Maszczyk. W Stali mocno trzymał się Krzysztof Rześny, zaś w Wiśle dobrze prezentował się bramkostrzelny Kazimierz Kmiecik. W Górniku Włodka Lubańskiego godnie zastępował Andrzej Szarmach, w Pogoni Zenon Kasztelan wyrastał na dublera Deyny, a w Gwardii Warszawa obok Jerzego Kraski na swoją szansę oczekiwali Władysław Żmuda, Andrzej Sikorski i... Stanisław Terlecki. Tylko w Lechu Poznań trudno było by znaleźć drugiego Teodora Aniołę. Nagle zaginął tam słuch o Włodzimierzu Wojciechowskim, natomiast Romana Jakóbczaka uważano za gracza głównie „własnego podwórka”. W ogóle forma większości ligowców była słabiutka. Znacznie poniżej możliwości prezentowali się nawet: Deyna, Ćmikiewicz, Bulzacki, Lato, Domarski, Gorgoń i Szarmach. Na miarę reprezentacji grali tylko Antoni Szymanowski, Adam Musiał i... Władysław Żmuda. Zawodzili głównie ci bardziej znani zawodnicy, byli w cieniu ostro atakującej młodzieży. W sumie optymizmu niewiele, mnóstwo niewiadomych i ogrom pracy.

Jacek Gmoch, który już w dniu meczu z Anglią na Wembley chciał zrezygnować z pracy z reprezentacją, wziął się teraz mocno w garść i wyrastał na sprawnego „bankiera informacji”. Wierzył w siebie i w drużynę. Takie same zadania jak on u nas, w ekipie Argentyny spełniał Hector Rial, były gracz Realu Madryt z czasów Alfreda di Stefano, Puskasa, Kopy i Gento. „Szpiegował” nasz zespół od dawna, także w meczu z Fortuną. Wysoko ocenił nasze atuty, tak wysoko, że w hotelu „Forum” w Warszawie przy filiżance kawy i lampce koniaku, współ z równie wtedy szalonym Jackiem Gmo-

chem, uzgodnił, że w finale X Mistrzostw Świata grać będą Argentyna i... Polska. Gdy zapytałem go na czym opiera tę tak miłą dla nas opinię, odpowiedział z dużą pewnością:

– My, Argentyńczycy mamy najlepszych w świecie piłkarzy, a wy – Polacy prezentujecie futbol racjonalny, wyrozumowany, skuteczny...

– A Włosi? Co na to Włosi?... Są w naszej grupie... – ożywił się nasz „bankier informacji”.

– Feruccio Valcareggi – to wybitny fachowiec, ale jego drużyna tak daleko nie zajdzie... Padnie już w grupie w meczach z Polską i Argentyną... Zameczymy tych starszych panów Zoffa, Burgnicha, Facchettiego, Mazzolę, Riverę i Rivę atakiem non stop!...

Hector Rial z bazy w Madrycie i Carlos Lorenzo w Rzymie niemalże każdego dnia informowali selekcyjera Argentyny Vladislao Capa o przedmundialowych manewrach reprezentacji Polski i Włoch. Znaczna część tych doniesień ukazywała się w argentyńskiej prasie, zwłaszcza w „El Grafico”. Rial nie ukrywał zaniepokojenia stale wzrastającą klasą naszej drużyny. Za pośrednictwem Jerzego Bułanowa, byłego piłkarza Polonii Warszawa i reprezentacji Polski, który mieszkał wówczas w Buenos Aires, poznawaliśmy wszystkie „złote myśli” pana Hectora.

–...Polacy w ostatnich dwóch latach wyraźnie poszli w górę – ciągle powtarzał. – Potrafią grać szybko i niebezpiecznie dla przeciwnika. Polska to rywal, którego należy traktować bardzo poważnie...

Także Carlos Lorenzo utwierdzał trenera Capa w przekonaniu, że „Polska jest silna”. Jego zdaniem mecz z Polakami będzie miał fundamentalne znaczenie dla dalszych losów i sukcesów Argentyny w mistrzostwach świata. By wygrać z Polską, trzeba narzucić jej niewygodny sposób gry. Nie wolno oddać środka pola Deynie, bo potrafi zaskakująco strzelić z dystansu. Trzeba go blokować!!!... Włosi również wysoko oceniali „biało-czerwonych”, przypisując im war-

tości „wschodzącej gwiazdy znad Wisły”. Natomiast z dalekiego Port – au – Prince szef naszej placówki dyplomatycznej, Wiktor Karasiński donosił, że „*nie ma mocnych na Haiti*”. Oliwy do ognia dolewały niektóre polskie gazety, twierdząc, że „**Vorbe jest wielki**”.

Nie sędzę, by te krajowe sensacyjki i buńczuczne oświadczenia działaczy z Karaibów przestraszyły kierownictwo PZPN, trenera Górskiego i jego chłopców, ale na wszelki wypadek postanowili „dmuchać na zimne”. Na rekonesans wysłano na Haiti „Orlęta”, praktycznie naszą drugą reprezentację, zresztą w Port-au-Prince od początku uważaną za wszystko najlepsze, co ma Polska do pokazania. Podziwiany za humor okazjonalny nasz selekcjoner w formie dowódcy jednostki wojskowej oznajmił:

...W terminologii wojskowej istnieje takie pojęcie – rozpoznanie przed walką. To będzie właśnie zadanie dla Strejlaua i jego chłopców. Kontakt pozyteczny... Na Haiti jedzie zespół młodzieżowy, który – wbrew pozorom – reprezentuje nieco inny sposób gry, niż nasza pierwsza reprezentacja. Zorientujemy się, co wart jest rywal, ale on zbytnio nas nie rozszyfruje. Traktujemy bowiem ten wyjazd eksperymentalnie. Przetestujemy zaplecze... Natomiast kandydatów do podstawowego składu zabieram na grę kontrolną do Stuttgartu.

Byłem jednym z tych szczęśliwców, którym powierzono to „rozpoznanie przed walką” za Oceanem. Od początku była to podróż z przygodami. Już na lotnisku Okęcie nieźle nas zlustrowano, a potem w Paryżu długo czekaliśmy na samolot do Port – au – Prince. Po drodze mieliśmy tylko raz lądować na Martynice, a stamtąd polecieć już prosto na Haiti. Gdyby podróżował z nami Janek Tomaszewski, niewątpliwie skwitował by to swoim nieśmiertelnym „i znowu zawiodła organizacja”, bo oto wśród nocy pojawiliśmy się jeszcze na Gwadelupie. Zapewne turyści z takiego zrządzenia losu mocno by się ucieszyli, ale pił-

karze narzekali na te wątpliwej wartości atrakcje. Tubyłcom nasz pobyt na wyspie jednak przypadł do gustu. Chcieli nas zatrzymać na dłużej i zaproponowali nawet rozegranie meczu za niezłą kasę. Obiecywaliśmy, że... do tematu wrócimy w drodze powrotnej.

W Port – au – Prince zamieszkaliśmy w skromnym hoteliku „Paulena”, w starej dzielnicy miasta. Pokoje jak w schronisku, menu podłe, w czasie treningów brak piłek, niepokieszeni bramkarze. Tylko pogoda wspaniała. Niewielki basen przypominał brodzik dla dzieci, dla dwudziestu chłopów był stanowczo za mały. W ogródku jednak cisza, dobre warunki do odpoczynku, regeneracji organizmu i skołatanych nerwów. A kłopotów i pytań było sporo: – O której podadzą obiad, kolację? Kiedy przyjedzie po drużynę autokar? Piłek nie ma, obiecali przysłać prasę i na tym się skończyło. Im się w ogóle nie spieszy... Szybkie okazały się tylko „panienki” z sąsiedniej Dominikany. Pojawiły się w „Paulenie”, ale... fruktów nie zebrały. Pocieszał je tylko właściciel „Pauleny”. Marek Janota, wtedy szef wyszkolenia PZPN, tylko na „dystans” podziwiał urodę i zgrabną sylwetkę młodej Kreolki.

Pierwszy mecz na Stade Sylvio Cator zaplanowano na sobotę 15 kwietnia o godzinie 17.00. Naszą drużynę zareklamowano jako złotego medalistę olimpijskiego i... pogromcę Anglii. Takiego rywala zapragnął obejrzeć prezydent Haiti Jean Claude Duvalier – junior. Spóźniał się, a bez niego gry rozpocząć nie wolno. Miejscowi do tego przyzwyczajeni, spokojnie czekali, nas jednak o mało szlag nie trafiał. Dopiero telefon do ministra sportu „prezydent nie przyjedzie” był sygnałem do rozpoczęcia meczu. Niespodziewanie wygrali go Haitańczycy 2:1, mnie to jednak nie zmyliło, napisałem w „Piłce Nożnej” **„To jednak outsider!”**.

Zwycięzcy byli wniebowzięci, prasa, radio, telewizja trąbiło niemal przez cały następny dzień *„jesteśmy lepsi od mistrza olimpijskiego”*. Zaproszony do radia

na podzielenie się refleksjami z tego meczu usiłowałem nieco stonować entuzjazm Haitańczyków. Mówiłem, że to nie jest pierwsza reprezentacja Polski, ta najlepsza byłaby w stanie pokonać zespół Haiti w granicach 5:0. Zresztą i tego spotkania polscy młodzieżowcy nie powinni przegrać, bo pierwszą bramkę zwycięzcy zdobyli z wyraźnego spalonego, a drugą z rzutu karnego, którego nie było. Pomógł wam sędzia Vallerio Raminez z Porto Rico...

Przestraszony takim komentarzem szef naszej placówki dyplomatyczno-handlowej, Wiktor Karasiński, który tłumaczył moje wystąpienie, zupełnie zmienił jego sens. Położył oczywiście nacisk na pochwały pod adresem zwycięskiej drużyny i trenera Antoine Tassy'ego. A ten chodził dumny, jak paw. Niedługo, bo już dwa dni później podopieczni Andrzeja Strejalua pokazali Haitańczyków ich miejsce w szeregu. Wygrali 3:1. W sumie nasi strzelili na Stade Sylvio Cator cztery bramki, w tym aż trzy Andrzej Szarmach. Tę czwartą zdobył Marek Kusto. Kandydaci na Weltmeisteschaft '74?

Pytanie to było uzasadnione choćby dlatego, że w Stuttgarcie ci niby najlepsi wybrańcy selekcyjona przegrali z drużyną klubową VfB aż 1:4. Opinia red. Mieczysława Szymkowiaka z tego przykrego wydarzenia była jednoznaczna „**Z obłoków na ziemię...**” W tej sytuacji rosły szanse większości „Orląt” na przebicie się do szerokiej kadry na mistrzostwa świata. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu pokazówka, jaką uraczyli Haitańczyków Polacy w tym drugim meczu. Wypoczęci, już przyzwyczajeni do podzwrotnikowego klimatu i spartańskich warunków bytowania, a także urażeni buńczucznym tonem miejscowej prasy, zagrali tak, że palce można było lizać.

Kłopoty z szybkim powrotem do kraju nieco zepsuły ten dobry nastrój. Liniami francuskimi nie wracamy, brak rezerwacji. Nici z meczem za grubą forszę na Gwadelupie. Menedżer Enzo Magnozzi stanął jednak na głowie i jakoś nas z tego Port – au – Prince wyzwolił. Błyskawicznie załatwił wizy tran-

zytowe do USA i teraz już bez większych przeszkód wylądowaliśmy w Miami na Florydzie. Ale samolot do Londynu jest dopiero za 12 godzin. Co zrobić z tak atrakcyjnie rozpoczętym dniem? Na Haiti zaprzyjaźniłem się z menedżerem, na dowód sztamy wymieniliśmy nawet koszule, więc teraz niemal cały wolny czas wykorzystywaliśmy na pogaduszki (nie tylko) przy barze na wysokich stołkach.

W czasie przelotu nad Atlantykiem zdołałem jeszcze przeczytać artykuł zamieszczony w naszej prasie o piłkarzach Haiti. Tytuł niezbyt zachęcający „Tylko Vorbe jest wielki”, ale fantazja autora wybujała. Ten Philippe Vorbe to haitański Rivera, Deyna, Netzer... Kto tę bzdurę wymyślił? Typowa informacja z trzeciej ręki. Z Vorbem było zapewne tak, jak z książkami napisanymi w języku angielskim, potem przetłumaczonymi na francuski, a z tego dopiero na polski. A ja tego „wielkiego” Philippe widziałem na własne oczy!... Tak go oceniłem:

REKONESANS W PORT-AU-PRINCE

...W Port – au – Prince każdy uważa, że jest wielki. Takie mniemanie ma o sobie sprytny trener Antoine Tassy, także nie stroniący od alkoholu, ale ze słabą głową na karku, minister sportu Jean Baptiste. Jednak tak naprawdę na Haiti „wielki” jest tylko młodociany prezydent, Jean Claude Duvalier. – To on – z naciskiem podkreślił Enzo, organizator naszej wyprawy – jest tu wszystkim! Nawet faktycznym prezesem Federation Haïttanne do Football. Absolutny dyktator! Place, większe budowle, lotniska, nawet plaże noszą jego imię lub zmarłego ojca Francois Duvalier. „Baby doc” opłaca piłkarzy z własnej szkatułki. Najwyżej właśnie Philippe Vorbe, może dlatego również on jest „wielki”.